ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 9 września 1934 r.** **Nr. 37**

Przemysław Mączewski

Polski Werther

Liczbę studjów z zakresu historji naszej literatury pomnożyła p. Marja Danilewiczowa gruntowną i zajmującą rozprawą o Tymonie Zaborowskim*), który ongi, jako przedstawiciel szczupłego grona „poetów podolskich" (Rajmund Korsak, Gosławski, Starzyński) przesadnie, na równi z Mickiewiczem wielbiony, uległ w krótkim czasie niemal zupełnemu zapomnieniu.

A jednak już samo życie Zaborowskiego, którego współcześni nazwali „polskim Wertherem", miało w sobie tyle momentów dramatycznych, że mogło być tematem do bardzo interesującej, romantycznej powieści.

W biografji poety były dotkliwe luki. Wypełniła je umiejętnie p. Danilewiczowa obfitym materjałem. Dotarła szczęśliwie do korespondencji Zaborowskiego z przyjacielem, Florjanem Łaszowskim, niejeden ciekawy przyczynek do życiorysu znalazła w archiwum hr. Szeptyckich w Przyłbicach, w Ossolineum i bibljotece Czartoryskich w Krakowie. Mamy więc dzisiaj już wcale dokładne wiadomości o latach szkolnych poety w Krzemieńcu, o jego krótkiej działalności literacko - wydawniczej w Warszawie i o najważniejszej epoce życia po powrocie do rodzinnych Liczkowiec, na galicyjskim Podolu. Tutaj talent poetycki Zaborowskiego po niezbyt szczęśliwych próbach w rodzaju epickim i dramatycznym, rozwinął się i zabłysnął w „Dumach Podolskich".

Równocześnie przeżywał Zaborowski tragedję dwukrotnej, nieszczęśliwej miłości. Z uczucia do Anny Czechowiczowej (Aizyry) uleczyły go: niestałość kochanki, perswazja przyjaciół i praca literacka. Lecz następna miłość, również do mężatki, Laury z Siemianowskich Zabielskiej z Horodnicy, najbliższego sąsiedztwa Liczkowiec — złamała mu życie.

Laura straciła matkę, jako 11-letnia dziewczynka. Ojciec, egoista i despota, budził w niej tylko uczucie bojaźni. Gdyby nie stara klucznica, która wychowywała Laurę według wskazówek nieboszczki matki i opowiadała jej o Kościuszce, Kilińskim i rzezi Pragi — dziecko wyrosłoby na szczebioczącą po francusku, ładną, bezmyślną lalkę. Kiedy miała lat szesnaście, ojciec zmusił ją do poślubienia swego przyjaciela, hr. Zabielskiego, który złakomił się na duży posag Laury. Rażąca różnica wieku, brak miłości i wzajemnego zrozumienia — nie rokowały szczęścia temu małżeństwu. Laura poznała w r. 1819 młodego, przystojnego Tymona Zaborowskiego. Na całem Podolu rozbrzmiewała już jego poetycka sława. Z obopólnej sympatji zrodziła się miłość. Kochanek „każdego ranka przyjeżdżał do Horodnicy z równianką kwiatów i kładł ją na sztachetach ogrodu Laury. Ona nosiła te kwiaty przez cały dzień na sercu i odnosiła wieczorem na wskazane miejsce przy sztachetach, gdzie Tymon je późnym wieczorem zabierał".

Tajemnica miłości nie dała się jednak ukryć. Na rozwód nie chcieli się zgodzić ani rodzice Tymona, ani mąż Laury. Poeta zapadł w stan ciężkiego rozstroju nerwowego. Wtedy Laura, pragnąc go ratować, podsunęła mu przyjaciółkę swą, Marję Schaft i namówiła, by ją poślubił. Zaborowski miał się podobno zaręczyć z Marją, lecz to nie stłumiło miłości do Zabielskiej. Zrozpaczony utopił się 28 marca 1828 r. w Zbruczu.

Miłość Zaborowskiego do Laury, opisana przed laty przez Felicję Boberską, zbadała autorka omawianej rozprawy, na podstawie nowych dokumentów, niejeden szczegół zwertowała i wyjaśniła stosunki rodzinne poety. Ojciec Tymona nie odgrywał w życiu domowem poważniejszej roli. Pierwszą osobą była matka, z domu hrabianka Szeptycka, kobieta rozumna i światła, lecz despotyczna i surowa. Nieraz dawała odczuć dotkliwie mężowi i synowi, że ona jest właściwie panią Liczkowiec, które wniosła w posagu, i że jej wola o wszystkiem decyduje. Planom połączenia się Tymona z Laurą sprzeciwiła się stanowczo. Nieszczęśliwy poeta, chociaż miał już lat 29, nie śmiał walczyć z matką. Na kilka tygodni przed zgonem uciekł z domu. „Śród tęgiej zimy, nie zważając na gęste straże kordonów rosyjskich, na załamanie lodów na Zbruczu i opór żandarmów — dążył na Wołyń, szukając opieki i pomocy u wuja, pułkownika Szeptyckiego, przeciwko rodzicom, zaślepionym w złości i dumie. Odziany futrem, obmarzłem przy dwudziestu kilkostopniowym mrozie, z przesiąkniętemi skórzniami wilgocią śniegową, trzymając w prawicy lagę prawie sążnistą, toporem żelaznym zakończoną — wkroczył bez zapowiedzenia się swego w podwoje pysznego gmachu... Lecz wuja nie zastał. Wrócił więc do Liczkowiec i tam popełnił samobójstwo".

Taką relację o ostatnich dniach nieszczęśliwego poety pozostawił jeden z jego przyjaciół.

Czy Zaborowski istotnie dobrowolnie rozstał się z życiem? Wprawdzie w jednym z jego nekrologów podano wiadomość, że tknięty na przechadzce atakiem sercowym, niechcący wpadł do Zbrucza i utonął, lecz wszystkie inne wspomnienia pośmiertne mówią najwyraźniej o samobójstwie. W kilkadziesiąt lat po zgonie poety Kantecki ogłosił w „Gazecie Lwowskiej" (1875) rzekomo na podstawie opowiadań współczesnych, że Zaborowski „zakochany w zamężnej sąsiadce, miał z nią nawiązać poufalszy stosunek. Wtedy mąż zazdrosny, jak Otello, umyślił pozbyć się rywala. Nasadzony przezeń wierny i od ślepego posłuszeństwa nawykły kozak zaszedł drogę Tymonowi, wracającemu brzegiem Zbrucza ze schadzki z ukochaną, a pochwyciwszy w żylaste dłonie, zanurzył mu głowę w wodzie i trzymał tak długo, dopóki nieszczęśliwy nie wydał ostatniego tchnienia".

Wersję tę, przypominającą tragiczną śmierć Gertrudy Komorowskiej pani Danielewiczowa odrzuca. Zdaniem jej na samobójstwo poety złożyły się oprócz zawodu w miłości jeszcze inne przyczyny: wrodzony pesymistyczny pogląd na świat i ludzi, lektura „Dziadów", „Nowej Heloizy" i „Werthera" oraz brak wiary w wartość własnych utworów literackich.

W listach do Łaszkowskiego przechował się doskonały portret duchowy poety. W poglądach filozoficznych i religijnych widoczny wpływ racjonalistów wieku oświecenia, lecz równocześnie silne akcenty uczuciowe i uniesienia liryczne. Wolter i Rousseau byli ulubionymi autorami Zaborowskiego już na ławie szkolnej.

W twórczości jego literackiej uwydatnia się stosunkowo przez czas długi zależność od obowiązujących wówczas klasycznych wzorów. Poemat heroikomiczny: „Klub piśmienniczy", nieskończona epopeja bohaterska o zdobyciu Kijowa przez Bolesława Chrobrego, wierszowana poetyka p. t. „Parnas we śnie", rozmowy estetyczne, ogłaszane w „Ćwiczeniach Naukowych", wreszcie kilka fragmentów dramatycznych — wszystko to tchnie jeszcze prawowiernym duchem klasycznym, jak przystało na pilnego ucznia Liceum Krzemienieckiego Lecz usposobienie uczuciowe, bujna imaginacja i szczególne warunki życia, skłaniały go w stronę romantyzmu. Gdyby się był zetknął bliżej z pisarzami tego kierunku i żył dłużej, popłynąłby niezawodnie na ich fali. Pierwszemi tomikami Mickiewicza zachwycał się i w tragicznych losach Gustawa z „Dziadów" widział jakby obraz własnej, nieszczęśliwej miłości.

Wobec własnych poezyj był surowym sędzią, toteż większość ich zalegała w rękopisach. Talent Zaborowskiego nie dorównywał przez czas długi jego ambicjom; rozwijał się powoli, obrawszy ciężki tor klasycyzmu. Gdziekolwiek jednak próbował nowych dróg, gdzie choćby nieśmiało ulegał szczerym, naturalnym podnietom uczucia i wyobraźni — wyjaśniał się i mężniał.

W ostatnich latach życia zaczął Zaborowski pisać „Dumy Podolskie". Wiersze to niemal zupełnie z klasycznego szablonu wyzwolone, dorównywały wysokim tonem patrjotycznym „Śpiewom historycznym" Niemcewicza. Były jednak od nich gorętsze; skalą uczucia dosięgały już poziomu poezji romantycznej. Niestety „Dumy Podolskie" były śpiewem łabędzim Zaborowskiego.

W tych czternastu pieśniach uwydatnił się bodaj najsilniej znamienny rys jego twórczości: ukochanie ziemi rodzimej. Znał Lwów i Warszawę, najmilsze wspomnienia łączyły go z Krzemieńcem, lecz najlepiej czuł się w Liczkowcach, w uroczym zakątku galicyjskiego Podola — „w ciemnym Miodoborze, kędy gór i skał pasma Zbrucz gwałtowny porze". Grzbietem malowniczych wzgórz miodoborskich prowadziła ocieniona sędziwemi dębami droga, zwana szlakiem tatarskim. Mnóstwo pieśni i podań z nią się wiązało. Obok liczkowskiego dworu wznosiły się mury starego zamczyska, a nieco dalej góra Bohut. Dawna legenda głosiła, że u jej stóp nad Zbruczem było niegdyś piękne bogate miasto, zburzone przez dzikiego wodza Tatarów. Wojownik ten nazywał się Buniak Szełudywyj a miał taką siłę wzroku, że na co tylko spojrzał — zamieniało się w głaz lub wpadało pod ziemię. Za Bohutem drugie, święte wzgórze słowiańskie, Kruhła Hirka, ze śladami pogańskiego, kamiennego ołtarza. W okolicy Liczkowiec wyorywano skorupy popielnic, szable tureckie i zaśniedziałe rzymskie monety. Wszak niedaleko stamtąd ciągnął się sławny „Wał Trajana". Gdziekolwiek się obrócić, płynął z tych wzgórz i jarów tajemniczy pogłos wielkich wypadków dziejowych.

W stosunku Zaborowskiego do Liczkowiec, Zbrucza, Miodoborów i całego Podola, które przejechał wszerz i wzdłuż, był sentyment niezwykły w ówczesnem pokoleniu. W umiłowaniu ziemi rodzimej, w głębokiem poczuciu organicznego związku z gruntem, jego tradycją i przyrodą nie było wówczas bodaj nikogo, czy to wśród podolskich, czy nawet ukraińskich lub litewskich, poetów, ktoby mu dorównał. Mianując się „wieszczem Miodoboru", uważał uroczysty zakątek nad Zbruczem za kolebkę prastarej tradycji słowiańskiej, powołaną jeszcze do odegrania w przyszłości ważnej roli dziejowej. W tym słowiańskim instynkcie poety było jakby utajone przeczucie doniosłego odkrycia, jakiego dokonano na jego ukochanej rodzinnej ziemi. W siedmnaście lat po zgonie Zaborowskiego znaleziono na dnie Zbrucza, w pobliżu legendarnego Bohutu, słynny posąg boga Słowian — Światowida.

*) Marja Danilewiczowa: „Tymon Zaborowski — życie i twórczość, 1799 — 1828". Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Warszawa — pałac Staszica, str. 267.

Adolf Nowaczyński

Banda Gelphanda

Pierwszego już dnia na Zjeździe Sowieckich Literatów w Moskwie wygłosił stary Gorkij w „Kolumnowej Sali" mowę programową, rugającą kapitalizm i Europę, w której to mowie był także dłuższy ustęp ordynarnie bluźnierczy, napiętnowany przez korespondenta „Kurjera Warszawskiego" (Aryjczyka), a zatajony przez tajemniczego Hakki-beja (?) w jego długiej relacji dla „Kurjera Porannego".

„Izwiestja" dały z tego kongresu doskonałą karykaturę Jefimowa (naśladowca genewskiego Deri), w której sprezentowany jest wielki Gorkij w otoczeniu tych zresztą mało znanych znakomitości o takich nazwiskach, jak: Marsak, Judin, Stawskij, Kirpotin, Kirszon. Na samym froncie dość groźne typy mozaiczne, wśród nich „nasz" „Radek" (Sobelson). Innych jewrejew, którzy tam grali wielką rolę, jak Bergelson, Babieł, „nasz" Zyssman („Jasieński"), i t. p. niema. Niema również Emiljana Gelphanda „Jarosławskiego", któremu zjazd literatów urządził pono spontaniczną owację, jak również owacjonowano też niedoszłego wielkorządcę polskiej republiki radzieckiej, zabawnego rewolucjonera kawiarnianego, Feliksa Kohna.

Owacja kongresu dla Gelphanda („Jarosławskiego") jest bardzo znamienną. Cały zlot był zaaranżowany w tym celu, aby zyskać dla Sowietów sympatję i protekcję jak największej ilości literatów europejskich, proputczyków marxizmu i komunizmu, którzy w krytycznym momencie wojennym dostaliby dyrektywę obrabiania i ugniatania opinji Jewropy w sensie psioczenia na Japonję a apoteozowania miodem i głodem płynących Republik Radzieckich. Olbrzymią owację dla niedoszłego generalnego komisarza Polszy F. Kohna urządzono pod adresem Warszawy, jako przyjacielskie ostrzeżenie... Owację zaś dla Emiljana Gelphanda, jako hołd dla jego owocnej działalności od lat szesnastu. Dlatego tak oklaskiwali go Bergelsohn i Sobelsohn, Zyssman, Stande, i stu innych pisatieli tej samej maści (40 proc. na zjeździe).

Czego dokazał i dokonał dotychczas „Jarosławskiej", przypominać nie trzeba, rzecz to wiadoma. Szef akcji bezbożniczej i antyreligijnej w Sowietach. Akcja ta zaczęła się już w r. 1917-tym. Do roku 1928 wymordowali komuniści: 31 biskupów i 1.500 duchownych wyznań chrześcijańskich. Stwierdzono to statystycznie w całym szeregu dzieł w różnych językach, bez żadnych zaprzeczeń ze strony Kremla. Pod Paryżem w kaplicy w Saint - Geneviève de Bois jest tablica z wyszczególnieniem tych cyfr i dalszych: 6.575 nauczycieli, 6.800 lekarzy, 19.850 urzędników, 54.850 oficerów, 320.000 obywateli ziemskich (szlachta), 815.000 chłopów i żołnierzy. Przypomniał to świeżo nawet „Matin" paryski. Oto są Greuelgeschichten i Greuelpropaganda, teraz jakoś całkiem wyszła Ewropejczykom z pamięci.

Co wycierpiał katolicyzm od GPU i czrezwyczajnych sadystów, zwyrodnialców, okrutników, od Łotyszów komenderujących Chińczykami i żydów, komenderujących Słowianami, to rzecz znana. Rozstrzelanie księdza Butkiewicza jakoś wszystkim u nas wyszło z pamięci, jak również kalwarja księdza biskupa Maleckiego. Bohaterstwo i męczeństwo księdza arcybiskupa Cieplaka w wyczerpującej monografji uwiecznił ksiądz Rutkowski. Ale te „G r e u e l e" nie cieszą się żadną p r o p a g a n d ą. O każdym przepędzonym z Niemiec wczoraj giełdziarzu, lichwiarzu, lekarzu chorób wenerycznych i adwokacie hotelarzy wenerycznych, pisze cała „Welt presse" i warszawska kornie za nią. O okrucieństwach zaś i rzeziach, o masowych egzekucjach i torturach, urządzanych przez chińskich specjalistów z Czeki Europejczykom jakoś wszyscy i prędko i łatwo zapomnieli; Herr Jot i Herr Cot pierwsi. Przypomniała im może o tem Wystawa w Paryżu, jaką niedawno wobec mało ciekawych i zwiedzających zamknięto przy rue d'Artois 16, gdzie Liga do walki z bezbożnictwem (idącem z Eurazji) sprezentowała eksponaty, ilustrujące sowiecką walkę Antychrysta z Chrystjanizmem. Zebrano moc afiszów, plakatów, transparentów, karykatur bluźnierczych i plugawiących przedewszystkiem chrześcijaństwo. Ponieważ Lenin a u t o s e f a, że „zwalczanie religji jest a b c wszelkiej akcji Marxowskiej", więc w Sowietach wypełniono przedewszystkiem te punkty z jego testamentu i te przedewszystkiem przez ludzi z rasy Starego Testamentu z Gelphandem i Kalibanowiczem (sic!) na czele; Kalibanowicz bowiem jest prawą ręką Gelphanda. Że przytem jednak oszczędzono conieco bóżnic i synagog, to stwierdza autorytawnie w świeżutko wydanej po polsku książce pod chytrym tytułem „Zmierzch Żydostwa", komunista Heller. Na stronie 318-tej czytamy:

„Bądźcobądź istnieje jeszcze w Odesie sporo bóżnic".

A z pobytu w mieście Kutaisie Heller pisze:

„Teraz mieszka więc w nowych pięknych domach a spaloną synagogę, rzecz w Związku Radzieckim bądź co bądź zdumiewająca, również odbudowano, żydzi otrzymali nawet od Sowietu Miejskiego oczywiście w drodze kupna materjał budowlany".

Dosłownie: Otto Heller (wydał Fruchtman). Natomiast kościoły i cerkwie już ostatnie zamyka się i otwiera z powrotem jako kluby partyjne, sale meetingowe i stołówki. Do 1-wszego maja r. 1937, wedle dekretu Gruzina na stolcu Groźnego, „terytorjum Unji Sowieckiej ma być uwolnione od wszelkiego Boga" (małą literą). Wyobrażenie Boga, które jako pojęcie średniowieczne dostarczało sposobności do ucisku robotników, winno być wygnane z granic terytorjum Z. S. R. R.".

W r. 1937 kończy się piatiletka bezbożnicza, przeprowadzana systematycznie i solidnie przez Gelhanda z bandy Kalibanowiczów. To też propaganda antyreligijna wbrew kłamstwom Weltprasy, nietylko się wzmogła, ale nawet rozszerzyła. Zreformowane G. P. U. obecnie omal wyłącznie zajmuje się tropieniem religiantów w katakumbach" i w piwnicach. Jak stwierdzili zgodnie korespondenci „United-Press" i wychrzczonego „Berliner Tageblattu", do czynienia ma bardzo wiele. Już z okazji Świąt Wielkanocnych religijność i wśród chłopów, i w miastach olbrzymio się wzmogła. W berlińskiej „Germanji" niejaki dr. E. Hurwicz (??) rozpisał się o tem p e r l o n g u m e t l a t u m (15. IV. 1934). Liga Bezbożników liczy już swoje 3 i pół milj. członków, komsomolcy i komsomołki już nawet nic nie słyszeli o „bogu", w każdem mieście większem są muzea ateistyczne i bywają kazania o rozumie i materji; bałwochwalstwo, bigoterja i dewocja to leninowska to stalinowska dochodzą do rekordów śmieszności i objawów obłędu stadowego (Monnolatria); ostatnich popów to torturują w „sledizolatorach" to wygładzają w Solowkach... a tymczasem najspokojniej w... kołchozach i... sowchozach mużyctwo wraca sobie spokojnie, cicho, ale masowo do prawosławnych praktyk i... procesyj (sic!).

Dokazała tego posucha, susza na południu. Jak bida, to bij żyda. Jak trwoga, to do Boga. W Moskwie, w „Kolumnowej Sali" liche literaty i zmyślne reżysery żydy owacjonują starego Kohna i udarnika „Jarosławskiego", a na Ukrainie znów grozi głód indyjski, taki, jak w r. 1932, a może gorszy.

Ostatnio wpadli Kalibanowicze z nienawiści do chrystjanizmu na jeszcze jeden trick, już nadnormalnie bezczelny i nikczemny. Dla propagandy bezbożnictwa po całym świecie wydać ma państwo na rok 1935 marki pocztowe bluźniercze; takież same karykatury, co są na plakatach i w „Bezbożniku" (lub w francuskiem jego wydaniu „L a L u t t e"), takie same zamieścić mają na sowieckich markach pocztowych. Jeżeli ma przyjść w przyszłości uryna bakterjowa, to można i takie optyczne bakterje wulgarnego, bydlęcego „racjonalizmu" puścić na świat. Kongres pocztowców w Kairze w lipcu obradował pono i nad tym psim figlem apostołów Antychrysta.

Z prezydjum związku filatelistów do leadera Mac Iugaya przyszedł protest z domaganiem się, aby nie dopuszczono do tych błazeństw żydowskich Mędrców z Kremla.

Swego czasu wyprosił sobie taką propagandę także wódz naczelny, Woroszyłow, niedopuszczając do „akcji bezbożniczej" w armji sowieckiej.

Toteż moskiewskie jewreje nienawidzą „Klima" obłędnie. Podejrzewają w nim, czy też przeczuwają człowieka przyszłości, ale całkiem innej, odmiennej przyszłości.

Miał kilka „powiedzeń" takich, których mu nie zapomną do grobowej deski... Oby nie jego deski!...

Aleksander Sendlikowski

Ewa zwycięska

Żyjemy i pracujemy z kolosalnem napięciem nerwów. Nasz mózg staje się coraz bardziej podobny do działającego sumiennie chronometru. Intelekt głuszy instynkt, tępi naszą wrażliwość, hamuje impulsy. Nawet uczucia mechanizują się, stają się banalne i powierzchowne. Uproszczony szablon wystarcza już nam, ludziom XX w. Ubożejemy rozpaczliwie. Stoimy więc na krańcu, nad przepaścią, przed katastrofą? Pozornie tak. Pozornie, gdyż wyzbywamy się relatywizmu. Rezygnujemy z bezustannego kołatania do drzwi zamkniętych. Odradza się w nas wiara i fanatyzm. Epoka nasza to okres szalonej wiary i ślepego fanatyzmu. Dreszcz uniesień, doznań, wzruszeń. Niema błądzenia, uciążliwego, bezcelowego szukania. Wszystko się upraszcza, zyskuje sens, treść, cel. Pytania: poco? dlaczego? — wątpliwości ustępują. Wchodzimy na drogę odrodzenia, odbudowy. Oczywiście, nie będziemy restytuowali dawnych form. Wyzbyliśmy się dawno sentymentów dla rupieci.

Jo van Ammers-Küller napisała ciekawą książkę „Jabłko i Ewa" *). Znamy już jej „Kobiety z rodu Coornveltów" i „Pochód krzyżowy kobiet". Trylogja ta oparta jest w koncepcji na łączności nietylo formalnej, ile ideowej. Jest uzasadnieniem pewnego poglądu, pewnej zasady.

Ewa walcząca, walcząca o swoje osobiste szczęście, o zrealizowanie przyrodzonego prawa. Bohaterką jest Elżbieta Coornwelt. „Jabłko i Ewa" daje wycinek jej życia, zarysowany właśnie pod kątem walki o szczęście. Elżbieta Coornwelt-Puck występuje w powieści już jako mężatka. Jest kobietą nowoczesną, samodzielną. Jest kobietą świadomą, czego od życia może dla siebie pragnąć. Henn van Doeveren-Han, mąż jej — to natura znacznie od niej prostsza, ponadto bardziej uczuciowo aktywna. Puck szuka dla siebie drogi. Jej małżeństwo z Hanem zapewnia jej życie nie z nim, lecz obok niego. Han kocha Puck — jemu wystarcza miłość i praca, które go pochłaniają i pociągają. A Puck? Za wszelką cenę chce żyć własnem życiem. Brzydną jej Indje, gdzie mąż gromadzi pieniądze i buduje sobie i jej trwały byt, przyszłość. Puck, holenderska kobieta, pragnie wykreślić sama własną swoją drogę. Pragnie zacząć żyć w warunkach, w których jej intelekt i nerwy będą działały. Puck jest rozdrażniona, opanowuje ją Heimweh — coraz bardziej potęgująca się tęsknota za ojczyzną, za ziemią i niebem, które są jej bliższe. Han rzuca karjerę — opuszczają Indje. Powrót do Holandji. Na krótko. Potem Han i Puck zamieszkują w Paryżu. On pracuje w warsztatach lotniczych, a dla niej pozostaje znów pusty dom, którego się nie kocha. Między Puck a Hanem zarysowuje się konflikt. Prostolinijna, ekspansywna natura Hana nie wytrzymuje. Han uczuciowo zbliża się do Lili Charlier. Kochać poczyna jej dom, jej dzieci, głos, uśmiech i włosy, które są srebrne. Oddala się od Puck. Płaszczyzny życia osobistego Puck i Han są coraz dalsze. A Puck właśnie wtedy zyskuje możność samodzielnej pracy. Swobodę. Wchodzi na swoją upragnioną drogę. Czy zdobywa szczęście? Narazie nie. Dopiero wówczas, gdy rezygnuje z budowania swego wyłącznie własnego życia, którego założenia były nawskroś egoistyczne, gdy zarysowuje się cel, dla którego warto pracować, myśleć, a nawet poświęcić się, wtedy Elżbieta Coornvelt odnajduje właściwą drogę i miejsce dla siebie. Do szczęścia nie idzie przez szczęście, ale przez oporną, ciężką walkę z sobą samą, przez wyrzeczenie się. Han przechodzi podobne koleje. I on, aby triumfować, musi przemóc się, zdobyć na twardość, brutalną nieustępliwość wobec siebie samego. Han porzuca Lili Charlier— należy już do Puck.

Akcja prosta, nieskomplikowana. Nie o nią przecież chodzi. Powieść rozgrywa się w innym wymiarze. Jest powieścią psychologiczną. Powieścią o miłości i o walce.

Stendhal pisze: „...prawdziwą miłość można porównać do odludnej, stromej i uciążliwej drogi, która zaczyna się wprawdzie w czarownych gajach, ale niebawem gubi się wśród skał, zgoła nie pociągających dla pospolitych oczu. Pomału droga zapuszcza się w wysokie góry, w ciemny las, którego olbrzymie drzewa, tamując światło gęstwą strzelających w niego wierzchołków, niecą grozę w duszach niezahartowanych na niebezpieczeństwo" (str. 324. O miłości).

„Małżeństwo: szczęście leży nietyle w posiadaniu, ile w zdobywaniu przedmiotów naszych pragnień. Abyśmy byli szczęśliwi, trzeba zawsze, aby czegoś brakowało naszemu szczęściu" (O miłości. Str. 533).

A więc zdobywanie, nie posiadanie. Walka. Droga wśród głazów. Książka Jo van Ammers-Küller oddaje to z dużą wyrazistością.

Han kocha Puck i jest przez nią kochany miłością dwojga ludzi, którzy w swem szczęściu wszechobejmującem nie wahają się i nie krępują okazywać jej sobie na każdym kroku. Niema dla nich „problematu małżeńskiego" — jest życie. Gardzą teorją. Idealizują się, ale nie mogą poznać i odkryć w sobie tego, co każde z nich za najcenniejsze w sobie uważa. Ich uczucie jest gorące, ale nie jest szczere, nie jest dość wielkie, aby byli gotowi zbyt wiele poświęcić. Taki moment nadejdzie dopiero znacznie później. A przecież „najniebezpieczniejszy dla życia w małżeństwie jest okres, kiedy oboje młodzi płyną całą parą naprzód, rozwinąwszy żagle w pełni, najbardziej zaś sprzyjający bywa—przeważnie—czas, kiedy wspólnemi siłami walczyć muszą z ciężką troską, brać się za bary z niepowodzeniem" (str. 47).

Han i Puck musieli przeżyć swój dramat. Puck dręczyła się, widząc odchodzącego Hana, przechodziła mękę czując, jak namiętna potęga pożądania jej zanika. Jej naturalny kobiecy instynkt, nakazujący budować w małżeństwie szczęście wspólne, był nieustannie gwałcony przez dążenie do wypełnienia sobie treści życia własnemi celami. Puck nie rozumowała. Wychowanie nauczyło ją tego. Miłość z wyrzeczeniami, z ofiarami, zazdrością — to wszystko wydawało się jej mocno nienaturalne. Toteż po pierwszej burzy, upojeniu, radości wytworzyła się dokoła Puck jakby pustka. Dom? Ten był bez treści. Mąż? Nie może być wszystkiem. Dziecko, pragnienie jego? Wyuczony, małoduszny romantyzm. Więc co...? Puck była młodą kobietą w czasie, gdy młode kobiety nie miały żadnych ideałów. Od miłości nie żądały one niczego wielkiego i wzniosłego, chociaż instynkt działał w przeciwnym kierunku. Gdy szła przeciw niemu i wola — instynkt ustępował, ale było to ustąpienie pozorne, wcześniej czy później dochodził on znów do głosu i, gdy był dość silny, dawał, jak Elżbiecie, zwycięstwo.

Podobny proces dokonuje się i w psychice mężczyzny. Reakcje mają tu jednak nieco odmienny charakter. Ciążenie intelektualne, energja nerwowa nie odbijają się tak silnie i tak bezpośrednio na życiu uczuciowem. Kobiety są wrażliwsze, ponieważ, jak to ktoś świetnie określił — nawet myśli ich idą przez serce.

„Jabłko i Ewa" jest właśnie ilustracją tej prawdy. Jest to powieść wielu konfliktów. Jakże wyzywająco zarysowany jest bezwzględny chłód Hana, jego twardość, gdy decyduje się porzucić kochającą go Lili. Z dwóch kobiet, które pragną budowy własnego szczęścia, Han wybiera Puck. To jest naturalne. Ale znów ukazuje się przed nami nowy węzeł dramatu. Szczęścia nie można realizować, robiąc wszystkim dobrze, dla wszystkich się poświęcając. Każdy nasz czyn komuś dogadza, a komuś innemu zagraża. Stąd muszą zawsze wybuchać coraz to nowe zatargi. Zmaganie się jest czemś związanem z samem życiem. Nie usuniemy tego.

Chodzi o rzecz zupełnie inną. Nie można iść wbrew instynktom. One żyją w podświadomości. I tak Puck, gardząca pieluszkami i dzieckiem, przeżywa taki moment, zanim nastąpi jej całkowite z niewoli form wyzwolenie. Gdy na kolanach trzyma małe ciepłe ciałko dziecka, gdy dziecko uśmiecha się do niej, wyciąga rączki i przytula się z ufnością — nagle nikną wszystkie zastrzeżenia, niechęć, pogarda — natomiast budzi się pragnienie otoczenia opieką tego bezradnego maleństwa, przychodzi nagła radość, wybucha wzruszenie.

Cena zapłacona przez Elżbietę za jej samodzielność jest wysoka. Zapłaciło ją wiele kobiet, może nawet znacznie ciężej. Puck potrafiła bowiem wczas odnaleźć własne wyjście pożegnać się i rozstać bez żalu z tem, co było jej wrogie. Wolała zbudować trwałe szczęście, chociażby na skromniejszym fundamencie, niż pysznić się triumfami, które były jej klęskami. Przeżycia Elżbiety są refleksem, odbiciem tego, czem żyło i czego szukało pokolenie, które wychowywało się bez ideałów, którego nie uczono nienawidzić, ale i nie uczono kochać, pokolenie wielkiej myśli, ale małej wiary.

Trylogja Ammers-Küller warta poznania.

Tłumaczenie powieści godne politowania. Np. „A potem, przy wspólnym lunchu — Dorota przyszła podniecona i zadowolona z wyników pierwszej już zaraz odbytej konferencji — uświadomiła sobie nagle córka, jak miłe i rzeczowo rozmawiać może ze swą matką" (str. 83), „Gdybym nawet mogła trzymać niańkę, czy bonę do dzieci, czy wyobrażasz sobie, że **spuściłabym** się na obcą osobę?" (str. 139). Słowa, jak „**nasampierw**" (str. 226), „**upieścić**" i t. d.; trzebaby zacytować wogóle całą książkę.

*) **Jo van Ammers-Küller: Jabłko i Ewa.** Przekład R. Centnerszwerowej. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień". Warszawa, 1934. Str. 362.

Alfred Jesionowski

Si dèja... dèja — jak już... to już

W roku 1924 odbył się Kongres Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C. I. E.) w Polsce. Poznaniowi przypadło w udziale goszczenie przez trzy dni pokaźnej grupy młodzieży zagranicznej, 200 osób conajmniej. W hotelu Apollo mieliśmy przeważnie Francuzów i Belgów, trochę Węgrów, Szwedów i Anglików, i nieliczną garstkę gości egzotycznych. Gościom przydano do oprowadzenia po Poznaniu akademików poznańskich, a ponieważ goście, szczególnie Francuzi i Belgowie, poza swoim językiem innego nie znali, trzeba było porozumiewać się z nimi po francusku. Uderzyło mnie wówczas, że jednak my Polacy ze szkoły średniej wynieśliśmy znacznie więcej, niż goście nasi ze swoich szkół. Nasza francuzczyzna była wprawdzie więcej niż wątpliwa — ale ostatecznie dogadać się było można.

Przypominam sobie rozmowy pomiędzy „naszymi" i kolegami zzagranicy, od których uszy puchły! Oto n. p. zupełnie autentyczna rozmowa. Wracałem z jakimś belgijskim inżynierem koło godziny 7 wiecz. do Bazaru, gdzie o godz. 7 punktualnie podawano kolację dla naszych gości. Otóż Belg chciał koniecznie wejść jeszcze do kawiarni. Kolega, poznaniak, który szedł z nami, tłumaczy Belgowi:

— Il est temps d'aller collationner, c'est à septieme (!) heure qu'on mange au Bazar.

Belg słucha — i nie rozumie. Kolega cierpliwie powtarza swoje zdanie. Na co Belg:

— Mais qu'estce que voulezvous collationner?

— No, de la soupe, de la viande, de la compote etc.

Belg zaczyna rozumieć: aha: collation — kolacja, collationner: wieczerzać.

Nieporozumienie polegało na tem, że o powyższym wypadku należało powiedzieć raczej: allons souper, bo collationner bardziej nasuwało pojęcie kolacjonować, jakkolwiek w słownikach znajdujemy także collationner — wieczerzać. No, a potem—owa septième heure!

Zdarzały się jednakże rozmowy znacznie bardziej kompromitujące, bo Polacy tłumaczyli żywcem swe myśli z polskiego, co często było bardzo dalekie od żywej mowy francuskiej, rzadko zgodne z duchem języka francuskiego. — I wtedy już zastanowiło mnie, czemu tak liche rezultaty wydała nauka języka obcego, która przecież w b. zaborze pruskim odbywała się w trzech godzinach tygodniowo od kl. III do IX. („quarty" do wyższej „primy"). A odbywała się w ten sam sposób, co nauka języka martwego, polegała na tłumaczeniu z francuskiego na niemieckie i odwrotnie, na wykuwaniu niezliczonej ilości słówek, dziesiątku reguł, ustawicznych ćwiczeniach gramatycznych z mnóstwem pułapek dla tych, którzy reguł nie znali gruntownie. W ten sposób odbywała się nie tylko nauka elementarna, ale i lektura. Czytano jedno lub kilka zdań, tłumaczono na niemieckie, robiono rozbiór gramatyczny. O rozmowie francuskiej, o streszczeniu czytanej partji po francusku — mowy nie było. Stąd te beznadziejne rezultaty praktyczne. Każda rozmowa później ze strachem rozpoczęta, każdy list w obcym języku — to dosłowne tłumaczenie z ojczystego języka, może nawet i poprawne gramatycznie — ale najczęściej mimo to niezrozumiałe, bo zdania te nie brzmiały po francusku, nie były z ducha francuskiego.

A jakaż mordęga sama nauka! Nic w tem świeżości, nic nowoczesności, żadnej znajomości obcej kultury, tej kultury, która język dany wytworzyła. Stąd wzajemne niezrozumienie się narodów, przecenianie lub niedocenianie! Z t. zw. lektury wydobywano wartości formalno - kształcące, czasem wykorzystywano ją do moralizowania, wysnuwania pustych haseł, przedwczesnych lub nieprzemyślanych wniosków. Przeciętny inteligent oceniał kulturę francuską po żółtych książkach o treści pornograficznej, którą Francja miewała na eksport, i które pisali trzeciorzędni autorzy. Stąd mniemanie, że Francuz to człowiek zgruntu zepsuty, stąd wiara, że we Francji niema moralności, że Francuz jest lekki, frywolny, niezdolny do dyscypliny, karności. Mocno w to wierzyli n. p. Niemcy, aż im wojna dopiero dowiodła, jaka moc ducha tkwi w francuskim narodzie, jaka dyscyplina w francuskim żołnierzu.

Nauka jezyka obcego, nowożytnego pominęła jedno z najistotniejszych zadań: zadanie łącznika kulturalnego pomiędzy dwoma narodami.

Dziś się to wszystko zmieniło—nareszcie! Jaka ogromna zaś zaszła zmiana w poglądach na nauczanie języka obcego, nowożytnego — to najlepiej unaocznia porównanie dawniejszych i dzisiejszych podręczników do nauki języka nowoczesnego. Trudno przeprowadzić na tem miejscu skrupulatną analizę dawnych i dzisiejszych podręczników, każdy zabór miał inne i było ich bardzo wiele. Czytanki były dobrane na chybił trafił, były przeważnie treści historycznej, lub anegdoty mniej lub więcej ciekawe, które się, jak już poprzednio zaznaczyłem, tłumaczyło. Uczeń nie znajdował w takiej nauce najmniejszej przyjemności. Czytanki w nauce elementarnej (3 — 4 lat) były potwornie nudne i nie budziły żadnego żywszego zainteresowania. Lektura autorów traktowana była bezdusznie.

A dziś? — Na lekcji języka obcego, niemal od pierwszej chwili uczy nauczyciel piosenek w obcym języku, posługuje się gramofonem dla utrwalenia melodji i dźwięku, epidjaskopem dla utrwalenia wzrokowego treści trudniejszej. Książka nie jest podręcznikiem w nudnem tego słowa znaczeniu, a żywą, barwną lekturą, uwzględniającą zainteresowania młodzieży współczesnej. Treść ułożona w ten sposób, że dopiero szuka się jej w pierwszym roku nauczania języka obcego z środowiskiem obcem, z obcą kulturą. Na miejscu ustępów opisowych, nudnych i nużących, żywe opowiadania, djalogi, inscenizacje. Na bieżący rok szkolny ukazały się trzy podręczniki do nauki języka francuskiego dla klasy I-ej (początkowej). Jest to niezmiernie interesująca lektura nawet dla laika. Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Pierwszy z nich, którego autorem jest zasłużony neofilolog, dr. Bolesław Kielski [1]) nawiązuje do dawniejszych tradycyj w dziedzinie nauczania języków nowożytnych. Treść zgrupowana według czterech wytycznych: szkoły — rodziny — miasta — wsi — podzielona na lekcje poszczególne, ujęta jest często w opisie, przeplatana krótkiemi opowiadaniami, djalogami, piosenkami. Podręcznik ten różni się od dawniejszego znacznem ożywieniem materjału rzeczowego, uwzględnieniem momentów kulturoznawczych przez wprowadzenie pierwiastka życia francuskiego (francuskie znaczki pocztowe, szkoły, jedzenie, mieszkanie i t. p.).

Podręcznik Jungmana i Czernego [2]) różni się zasadniczo i pod wielu względami od podręcznika dr. Kielskiego. Po okresie nauki wstępnej, która obejmuje około 18 lekcyj — stanowi reszta książki jedno ciągłe opowiadanie: Przygody Pola, w ciągu których uczeń zapoznaje się w sposób naturalny z bogatym słownikiem z zakresu szkoły, domu, rodziny, wsi, miasta, sportu, zabaw — oczywiście w zakresie elementarnym. Pod względem metody zawiera ten podręcznik niemal wszystkie najnowsze zdobycze w tej dziedzinie — powiedziałbym, aż za dużo. Materjał, aczkolwiek ujęty elementarnie, jest tak obszerny, że trudno go będzie wyczerpać w ciągu jednego roku szkolnego. Co prawda pomysłowe podanie, umiejętne stopniowanie trudności ułatwi w pewnej mierze opanowanie materjału, ale nie w ten sposób, by stał się trwałą własnością ucznia. Jest tego za dużo. Nadto stawia podręcznik ten ogromne wymagania nauczycielowi, abstrahując od tego, że dziecku prowincji wiele rzeczy nie będzie znanych nawet w języku ojczystym. Trudno przesądzać oczywiście kwestję. Praktyka wykaże, czy podręcznik się nadaje do kl. I, czy nie. Z uznaniem w każdym razie podnieść trzeba nowoczesność jego, jego zalety wychowawcze w sensie ścisłym i kulturoznawczym, bogactwo pomysłów w przyswajaniu materjału młodzieży.

Najwartościowszym pod względem praktycznym i z punktu widzenia metody wydaje mi się podręcznik trzeci, Cieślińskiej-Nieniewskiej [3]). Autorki zdawały sobie doskonale sprawę z konieczności ograniczenia materjału, by możliwy był do przerobienia w ciągu jednego roku szkolnego, nie rezygnując z pełnego uwzględnienia zainteresowań młodzieży. Suchych opisów niema zupełnie — wszystko materjał rzeczowy podany żywo i zajmująco w najrozmaitszy sposób. Krótkie, gruntownie przemyślane opowiadania, sceny, djalogi — zajmujące opisy wprowadzają ucznia polskiego w świat życia ucznia francuskiego. Unikając moralizowania, potrafiły autorki włożyć w swe czytanki treść pełną wartości wychowawczych, objąć dziedzinę samowychowawczą, ucząc solidarności, altruizmu, kultu pracy i poszanowania pracy. Zręcznie ujęty jest świat francuski, francuska kultura — uczeń wchodzi weń z samego już początku, wskutek czego wzmaga się jego zainteresowanie dla samej nauki, nietylko dla nieznanego sobie świata. Uwzględnione zostały przeżycia młodzieży, jej troski i radości, praca i zabawa, pierwiastek społeczny. Sugestywne i dobrze dobrane ilustracje ułatwiają zrozumienie tekstów, często mówią same za siebie, dają bogaty substrat do rozmów w języku francuskim. Piosenki, a jest ich dużo (młodzież śpiewać lubi) nierzadko oparte są o płytę gramofonową (Au clair de la lune. Cadet Rousselle, Dodo, dodelinette), co umożliwia lepsze utrwalenie melodji i dźwięku obcego słowa, a posługiwanie się gramofonem wprowadza pożądane ożywienie i urozmaicenie do lekcji.

Mam wrażenie, że nie zawsze udało się uniknąć autorkom pewnego infantylnego podejścia do rzeczy. Ale wynika to prawdopodobnie z konieczności ograniczenia słownictwa, przez co niektóre ustępy i czytanki wypadają bardziej dziesięcioro, niżby to przy użyciu innego i większego zapasu słów. Tu i ówdzie nawiązują autorki do zgodnego współżycia narodów, do pielęgnowania miłości braterskiej, do zapoznawania i zrozumienia się narodów. — W sumie, podręcznik, który, będąc ostatnim wyrazem nowoczesności — nie przesadza pod tym względem i ma wielkie walory praktyczne.

Szczęśliwa młodzież, która z takich podręczników uczyć się może obcego języka, uczyć się — bawiąc się — i bawiąc się — uczyć się. Przekonany jestem, że uczniowie, uczący się pod kierownictwem dobrego nauczyciela z takich podręczników — nie będą w kłopocie, gdy przyjdzie rozmówić się z cudzoziemcem, że nie powiedzą: Si dejà — dejà — chcąc oddać polskie: jak już — to już. To pozostanie smutnym przywilejem dawniejszych uczniów Ploetza i jemu podobnych autorów.

[1]) BOLESŁAW KIELSKI: **Leçons de français** Podręcznik dla I klasy gimnazjów. K. S. Jakubowski — Lwów. 1934 r.

[2]) Prof. S. CZERNY et. F. JUNGMAN: **Les aventures de Polo.** Premier livre de français pour la premiere classe des écoles serondaires. Książnica Atlas. Lwów. 1934.

[3]) O. CIEŚLIŃSKA — H. NIENIEWSKA: **Parlons français.** Podręcznik do nauki jęz. francuskiego dla kl. I. gimn. Lwów. 1934 — Państw. Wyd. Książek Szkolnych.

XVIII.

FRANCUZI SĄ TACY MAŁOSTKOWI...

...Zdumiewające. Kalitrich miał rację. *„France la Doulce"* przeistoczyła się z niemieckiej w rosyjską. Dawniej nakręcano ją w dzień, teraz pracowano nocami. Zredukowano Taubesohna, Jagervogla i fryzjera Warum, a zastąpiono ich panami Nikitowem, Pawłowem, Dołgorukim i Iwanowem. Studio w Beaulieu przekształciło się w gniazdo białogwardzistów. Nad stołem reżysera zawisł portret cara, a w kątach złociły się ikony. Najmizerniejsza szwaczka była księżną, najmniej ważny statysta — jenerałem, najskromniejszy elektrotechnik — pułkownikiem powietrznej armji. Całe to bractwo wypełzło z tanich pensjonatów nicejskich, z okolic Riquier, Mont Boron, Bocca i cerkwi — gdzie dotychczas gnieździli się pijąc herbatę ze słoików od konfitur, snując samobójcze pro-

nej Audy. Niebieskie latarnie ciężarowych samochodów rzucały ponure błyski. Elektrotechnicy upadali ze zmęczenia; lampy łukowe ćwierkały; rozgrzana blacha pękała z trzaskiem. Bywało, że mechanicy zasypiali przy pracy i walili się z niebotycznych rusztowań. Hautducoeur nie miał już siły deklamować patetycznym stylem.

— Zostawię tu moje kości — jęczał boleściwie.

— Aktorzy są tylko narzędziami — odpowiadał Tatarin — manipuluję nimi jak chcę. Grunt by dobrze utrafić „spot". O nic innego nie chodzi.

I w dalszym ciągu, nieczuły na cierpienia, kazał im skakać, na dźwięk gwizdka, niby policjant regulujący ruch uliczny.

— To nie wypada, tak na nas gwizdać — zauważył Hautducoeur, który za każdym razem podskakiwał ze zdenerwowania.

Pomniejsi członkowie zespołu wzdychali rozpaczliwie.

— Czy panowie jesteście kapłanami Sztuki, tak czy nie? — wrzeszczał Tatarin.

— *Aloura* — gadaj pan co chcesz, ale żeby to szło prędzej — odpowiadali robotnicy, w narzeczu nicejskiem.

Lecz kapłanom Piękna nie wypada przyspieszać kroku, ani przejmować się sprawami pieniężnemi. Tatarin odprawił statystów pochodzenia żydowskiego i podarł scenarjusz, poprawiony przez panią Jacobi. Wszędzie walały się strzępy zniszczonych kontraktów. Sprowadził samolotami autentycznych saracenów z Arabji, polecił zburzyć i odbudować apartamenty pięknej Aude. Z Algieru przybył transport wierzchowców arabskich, kupionych na wagę złota od bogatych szeików. Zamówiono telegraficznie węże w Indjach, a lwy w Etjopji. Szampan lał się strumieniami, aż do świtu. W wykazach mnożyły się nadprogramowe godziny pracy — osiągnięto niebawem rekordową cyfrę pięćdziesięciu tysięcy franków, dziennego rozchodu. Wreszcie Tatarin otrzymał rozkaz natychmiastowego stawienia się w Paryżu. Udał się tam specjal-

aktorowi odszkodowanie i sprowadzać go z Paryża codziennie, drogą powietrzną, aby nie przerywać zdjęć. Hautducoeur figurował w pierwszych scenach *„France la Doulce"*, które musiano powtórzyć, gdyż taśma uległa uszkodzeniu. Dnia 25 listopada przyszła kolej na gwiazdora angielskiego Hitbottoma, który został wezwany do Londynu, na próby świątecznego misterjum. Tatarin pojechał za nim do Londynu, razem ze swoimi Rosjanami gwoli dokończenia wersji angielskiej, ale mgła listopadowa źle działała na jego słowiańską duszę. Z Londynem miał związane przykre wspomnienia, umarła mu tam przed laty na suchoty, kochanka, słynna gwiazda. W rezultacie zamiast nakręcać film trawił noce na układaniu projektów filmu, osnutego na tle życia umarłej kochanki, no a potem zaczynał płakać i nie było mowy o pracy.

Do Beaulieu wrócił dopiero około Nowego Roku. W studio panował zamęt. Mameluco nie otrzymał od trzech miesięcy ani grosza, gaży, więc samowolnie zajął miejsce Tatari-

na i skorzystał z jego nieobecności, by nakręcić wśród skał nadbrzeżnych całą serję pornograficznych filmów, które natychmiast sprzedał do Marsylji. Lecz policja miejscowa zatrzymała chytrego Syryjczyka i wysiedliła go z Francji.

* * *

O Roncevaux nie warto gadać — ale dla całości obrazu trzeba zdać relację z tego, co tam zaszło. Tatarin odmówił kategorycznie popasania w wąwozie, gdyż sceny zbrojnych starć odgrywane były przez wojowników w przyłbicach, a bez kobiet można było wogóle się obejść. Wewnątrz garażu, wśród szczątków jakiegoś Forda rdzewiały zbroje, hełmy, toledańskie sztylety i legendarny miecz Durandal. Zniknęły tłumy gawiedzi i zagranicznych korespondentów, polujących na sensację. Pozostała do odegrania jedna wielka bitwa, oraz wejście tryumfalne Karola Wielkiego, który miał wyrecytować tylko dwa wiersze, lecz na nieszczęście słońce nie

tłum statystów napadł na Jacobiego odbywającego inspekcję i dyrektor musiał ratować się ucieczką naprzełaj przez góry. Porzucił wtedy swoją piękną limuzynę, a statyści podpalili mu ją.

Zmuszeni jesteśmy powtórzyć ostatni odcinek, gdyż wskutek wadliwego złożenia rękopisu tekst uległ zniekształceniu.

XX.

KRON W NOWYM JORKU.

Kron wylądował w Nowym Jorku po sześciu dniach szalonej burzy, przywożąc z sobą urywek filmu. Fragmenty „France-la-doulce" były doprawdy w jego życiu wszystkiem. W czasie burzliwej pogody chował je pod poduszkę i spał na blaszanych pudełkach, w których one leżały, podczas gdy fale zmiatały pokład a śruby obracały się w próżni. Kiedy schodził na dźwięk gongu na posiłek dla pasażerów trzeciej klasy, zabierał je z sobą, strzegąc zazdrośnie i kładł je sobie na kolanach. Wszak przedstawiały one pracę wielu nocy, trudy wielu dni, w czasie których borykał się w obcym dlań kraju z trudnościami przygodnego zawodu.

Kron nie stracił bynajmniej wiary w siebie i był przekonany, że mimo jego niedoświad-

wspinał się po słupach telegraficznych, zawieszony w próżni ponad wielkiemi rynkami światowemi, nie wypuszczając z rąk drogocennych scen, które nakręcił w Beaulieu i Roucevaux, w kraju który wydawał mu się obecnie tak małym i dalekim... Dla dodania sobie odwagi Kron rozmyślał o kierownikach Eterfilmu i o figlu jaki im spłatał, uciekając z filmem. Nie mogli ani skończyć „France-la-Doulce" ani zacząć kręcić jej nanowo. Ale myśl o tym żarcie przestała go już bawić. Ażeby zwycięstwo było zupełne trzeba było mieć przeciwników w swej mocy t. j. znaleźć nabywcę na film.

Pierwsza w owym roku sucha śnieżyca zasypywała ulice. Kron schronił się do jakiejś apteki, w której młoda piastunka do dzieci wygniatała elektryczną maszynką parę pomarańczy. Zdarł celofan, w który był opakowany jego pergaminowy kubek, celofan chroniący jego słomkę, celofan, w który była owinięta jego sacharyna i usiadłszy na wysokim, biało lakierowanym taburecie zamyślił

jekty i warjując z tęsknoty. Dzielili się oni na klany i grupy, zgorzkniałe i kłótliwe, ale niezwykle solidarne, gdy trzeba było stawić czoła tym świniom cudzoziemcom. Oficerowie gwardji i admirałowie składali sobie wzajemnie uniżone ukłony, a jednocześnie robili sobie wzajemnie tysiące przykrości. Mieszkańcy Nicei mogli śmiało zastosować do emigrantów swoje stare przysłowie: —

„*Gen de guerra e de marin-son de la meme farina...*" *

Trzeba jednak było przejść przez moskiewską próbę, skoro postanowiono zaangażować Tatarina. Nie da się zaprzeczyć, że niezdecydowany Narcyz był do pewnego stopnia genjuszem. Potrafił przekształcić pannę Tetard na piękność klasyczną, a Hautducoeur na utalentowanego aktora. Każdy metr taśmy filmowej zawierał teraz ekstrakt najczystszej fantazji i wizjonerskich pomysłów. Przestano

* „Wojskowi i marynarze z jednej lepieni są mąki..."

nakręcać film w blaskach słońca, jako że Tatarin budził się dopiero u schyłku dnia. W ciche noce przepojone wonią jaśminów i pomarańczowego kwiecia przechodnie podziwiali purpurową łunę, która zapalała się na całym wybrzeżu od Cap d'Ail do wąwozu Villefranche, przesłaniała gniewny księżyc i gasiła gwiazdy. To czarnoksiężnik Tatarin zaczynał swą nocną pracę. Wytwornie ubrany, w jedwabnej koszuli łososiowego koloru, siedział w wygodnym fotelu, pogrążony zda się w marzeniach. — „Myślę ciągle — nie śpię nigdy" — mawiał z kabotyńskim akcentem. Czasami myślenie kosztowało go tak wiele, że musiał odpoczywać przez czas dłuższy w swoim gabinecie, gdzie sobie ustawił polowe łoże, zasłane prześcieradłami z krepdeszyny, z haftowanemi inicjałami. W takich razach wszyscy cierpliwie czekali, aż Tatarinowi przejdzie migrena. Wracał pełen pomysłów, przyciskając do żołądka gumową grzejkę, a na dany znak reflektory znowu puszczały snopy błękitnego światła, na historyczne postacie Karola Wielkiego i Pięk-

nym pociągiem razem ze sztabem. Rosjanin nie zdziwił się wcale, gdy mu oświadczono, że siódmy miljon został wydany co do grosza.

— To bardzo niewiele, jak na superszlagier — odpowiedział spokojnie. — Cóż kiedy Francuzi są tak małostkowi...

XIX

BLASKI I NĘDZE SŁODKIEJ FRANCJI.

Twórca filmu z gatunku super-szlagierów czuje się w obowiązku stosować tę samą metodę, gdy chodzi o udźwiękowienie filmu. *Noblesse oblige.* Okazało się, że aparatura w Beaulieu jest wadliwa, więc Tatarin wywiózł wszystkich aktorów na dwa tygodnie do Wiednia, gdzie najnowsze laboratorja niebawem jęły rozbrzmiewać rytmicznemi jękami, umierającego Rolanda. Specjaliści zajęli się synchronizacją, melodyjnych jęków legendarnego rogu. Minorowe „a" trwające nieskończenie długo, wywoływało rozdzierający efekt i powinno była wycisnąć łzy z oczów trzydziestu miljonów widzów.

Do Beaulieu powrócono siódmego listopada. Hautducoeur musiał wrócić do Paryża, gdzie wystawiano w Odeonie Britannikusa. Kontrast wygasł — trzeba więc było płacić

chciało wyjrzeć z za chmur, które od sześciu tygodni zasłaniały niebo. W obrazie z Karolem Wielkim mieli wziąć udział „biedacy", więc tłum biedaków czekał odpowiedniej chwili, zabijając nudę sprzeczkami. Byli to zresztą starzy znajomi: — poznali się w studio Beaulieu, kochali się w Wiedniu, pogardzali sobą w Sztokholmie, pogodzili się w Rzymie a znienawidzili się na dobre w Pirenejach. W małych kawiarenkach w Saint Jean Pied de Port kłóciły się zdenerwowane niedostatkiem i zimnem, zgłodniałe statystki, które zajmowały się wróżeniem z kart. Kozacy polowali, a dzieci francuskie i angielskie, które miały witać Karola Wielkiego wracającego z Saragossy, dygotały z zimna w lekkich ubrankach i biły się w kantynie.

— Ja chcę być pierwszy. Wszystkim dam po łbie, jeśli nie będę stać w pierwszym rzędzie.

— *Shut up you swine.*

— **Mamusia mówi, że moje rzęsy nadają się do zbliżeń.**

— Masz rzęsy jak ciele — płaskie, gęste... Fe!

Nawet charty pięknej Audy gryzły się z nudów, a zdziczałe konie rycerzy towarzyszących Karolowi, rozbiegły się po górach.

Codziennie o świcie fryzjerzy szminkowali piękne, wyniszczone twarze statystów, strojnych w historyczne łachy. Później deszcz jesienny zmywał szminkę i niszczył ubrania. Reżyser czekał cierpliwie do godziny jedenastej, nie spuszczając wzroku z posępnego nieba, a gdy nie było już żadnej nadziei wypłacało się statystom połowę należności i wypędzało się ich, niby stado zwierząt, do koryta.

— Idźcie jeść!

Schodzono tedy do miasta błotnistemi drogami, na których sterczały gdzieniegdzie porzucone platformy. Kobiety miały na sobie wiotkie, jak kalka płaszczyki, a mężczyźni paradowali w starych żołnierskich kapotach kolonjalnych pułków. Każdy z nich starannie unikał spotkania z żandarmami. Żaden z kierowników Eterfilmu nie miał odwagi tu przybyć od czasu pamiętnego dnia, kiedy to

czenia niektóre sceny były cudowne. Gdyby dano mu tylko możność pokazania ich, to już wystarczy! Po przebyciu granicy celnej zdobędzie całą Amerykę.

Kron po przyjeździe do Nowego Jorku zamieszkał z oszczędności w pensjonacie na Trzeciej Avenue. Piwo, które pito w tej dzielnicy, miało posmak słodu, a śpiewacy w tyrolskich kostjumach, którzy wieczorem występowali na estradach przed kuflami, stojącemi na obrusach w kratę i klepali się po łydkach i pośladkach, przypominali mu rozkosze Berlina i „Vaterland'u". Biegał po całym nowym Jorku od biur przy Times Square aż do warsztatów filmowych w Long Island, zwiedził w dolnem mieście prawdziwe ghetto (tak powoli powstające w Paryżu) w którem roi się od przyszłych matematyków, przywódców słynnych rewolucyj i niepoczytalnych dziadków fenomenalnych skrzypków. Czuł się tam jak u siebie w domu. Tylko to miasto było w stanie go zrozumieć i zorjentować się odrazu już z próbek jego filmu, że posiada talent jeszcze europejski i nienaruszony. Kron wypi-

sał dużemi literami na blaszanych pudełkach swoje imię, nazwisko i adres, ażeby ten teoretycznie możliwy majątek nie zaginął.

Długo czekał, aby zostać przyjętym w biurach, mieszczących się na zawrotnych wysokościach, gdzie gnieździło się kinowe plemię, którego zadaniem było zestawiać i podawać swemu panu, czyli publiczności, potrawy, przyprawione sosem Broadway'u. To co Kron nazywał sosem broadway'skim było śmietanką wiedeńskiego dowcipu okraszoną oleistym i brutalnym seksualizmem, pochodzącym wprost z Niemiec i rosyjską wonią kwasu siarczanego. Poznał clown'ów, proroków, potworów, ludzi tresujących psy i pośredników. Bywał w ich domach na zaproszenie ich małżonek i przeszedł wszystkie stopnie wielkiego świata „pictures" począwszy od Piątej Avenue a skończywszy na Riversidedrive. Jeździł z „France-la-doulce" samolotami i pullmannami, obnosił film po murzyńskich barach i bankach.

Usiłował trzymać się pewnej metody. Rozbijał kartele, przelatywał ponad holdings,

Kazimierz Delavigne — Wolny przekład Stanisława Miłaszewskiego

Ludwik XI

Fragment aktu drugiego.

LUDWIK

Nie igraj z ogniem, hrabio! Jeszcze jedna skarga,
A na tamten świat pomkniesz czwórką, co roztarga
Twe członeczki — z paradą wielką — na rozstaju.
Myśl o duszy, ja zajmę się ciałem.

HR. DE DREUX

Dla kraju,
Tylko dla dobra kraju, najjaśniejszy Panie...

LUDWIK

...Łupisz ludność, aż skwierczy cała skóra na niej?
Co? Chciałbyś rzec, że idziesz za moim przykładem?
Lecz król i lud — to jedność. Uważam za zdradę
Chcieć inaczej, niż ja chcę. Więc kto lud obdziera—
Krzywdzi króla, a za to, bratku, się umiera.

HR. DE DREUX

Królu...

LUDWIK

Sławetnych mieszczan, których mam [w estymie,
Bo w porę płacą, grabisz, plamiąc króla imię?
Za pięćset grzywien dwa tysiące zdzierasz,
Lichwiarzu? Spojrzyj no mi w oczy teraz!
Bliżej, bliżej! Tyś króla wziął za nieboszczyka?
Patrz, trup jestem, czy żywy? Wzroku nie unikaj,
Ty!

HR. DE DREUX

Królu...

LUDWIK

Oczy jeszcze nie zaszły mi bielmem,
Jeszcze nie leżę w trumnie, jeszcze widzę szelmę—
Nawskroś, nawylot! Grabież wydrę ci z bebechów!
Jam chory, lecz was, zdrowych, wyspowiadam [z grzechów.
Jam stary, ale wielu młokosów pogrzebię!
Nie igraj z ogniem, hrabio, boję się o ciebie!
Nic nie mówisz? Obrotny język skołowaciał?

(do mieszczan)

On wam zdzierstwo w dwójnasób wynagrodzi, [bracia,
Ja w tem! Urobię go wam jak glinę i zmiękczę.
Nemour był grubo twardszy niż ty, hrabio, ręczę,
Lecz przytarłem mu rogów i oddałem katu.
A ty masz także synów, co?

HR. DE DREUX (do COITIER)

Doktorze, ratuj!

COITIER

Królu, panuj nad sobą, gniew ci szkodzi wielce.

LUDWIK

Gniewając, chcą mnie wpędzić do grobu wisielce!
Chytry zamiar, lecz im się ta sztuczka nie uda:
Moje zdrowie umocni mąż, czyniący cuda.
Jestem czerstwy, zdrów: będę ze skóry was łupił!

COITIER

Krzyk szkodzi zdrowym i chorym.

Milcz, głupi!

COITIER

Nawet król nie zakrzyczy słuszności wrzaskami...

LUDWIK

Strzeż się!...

COITIER

To szkodzi zdrowiu i cześć króla plami!

LUDWIK

Do krocset!...

COITIER

Doczekałeś się królu,—twarz zbladła!

LUDWIK

Naprawdę? Pewien jesteś?

COITIER

Czy król chce zwierciadła?

LUDWIK

Już będę się hamował.

COITIER

Ależ po co, na co?
Królowi wolno robić, co chce, on jest władcą!
Wolno mu się nabawić choroby obłożnej,
Umrzeć, gdy zechce...

LUDWIK

Cicho, już będę ostrożny.

COITIER

Krzycz, poco się krępować, królu?

LUDWIK

Zgoda, zgoda!

COITIER

Tylko nie każ się leczyć!

LUDWIK

Druhu, dłoń mi podaj!

(do Hrabiego de Dreux)

Nagródź zdzierstwa mieszczanom, masz cztery dni [czasu,
Lub każę ci ściąć głowę — bez gniewu, hałasu.
Gniew szkodzi zdrowiu, prawda kochany doktorze?

HR. DE DREUX

Oddam co do grosika.

LUDWIK (do mieszczan)

No, dzieci, szczęść Boże!
A z tego, co z hrabiowskich szponów ocalało,
Dajcie mojemu słudze odrobinkę małą.
Tak z pięćset grzywien, — on mi doniósł, co się [święci.

OLIVIER

Zbytek łaski.

LUDWIK

Co? Niechcesz brać?

OLIVIER

W dowód pamięci
Od przyjaciół, i owszem...

LUDWIK (do Coitiera)

Czy nie masz ochoty
I ty, zrzędo, w kieszonkę wetknąć kilku złotych?

COITIER

Za nic w świecie, o ile król mi nie zapewni
Posłuchu.

LUDWIK

Czy słyszycie? Doktór mię rozrzewnił!
Jego troska o króla warta sto tysięcy.
Dajcież mu dwa tysiące, dziateczki, nie więcej,
On skromny: czuwa przy mnie dzień i noc, jak anioł.
Dwa tysiące za taką usługę, to tanio!
Prawda?—On mnie odmłodził, życie mi przedłużył:
Będę wam długie lata panował i służył,
Chroniąc przed zdzierstwem szlachty wasze chude [kieski.
Zapewnijcie stolicę o łasce królewskiej,
Niech mię burmistrz zaprosi na sutą biesiadę.
Z Bogiem! — Hrabio, pamiętaj moją dobrą radę!

(do dworzan)

Co jemu dziś, wam jutro, więc pilnujcie grzbietów!

OLIVIER

Przybyło niespodzianie poselstwo Helwetów.

LUDWIK

Odpraw! Republikańskiej niechcę znać kanalji!

FILIP DE COMINE

Wszak myśmy republikę traktatem uznali
W wolnej Szwajcarji.

LUDWIK

Wolność! Jakie wstrętne brzmienie!
Wolność! Czyli swawola, nierząd, rozbestwienie.
Oni — wolni! Pastuchy, chamy, kłusownicy!
Ich kraj niewart miesięcznych czynszów z mej [mennicy.

FILIP DE COMINE

Mimo to bronią kraju jak lwy Szwajcarowie.

LUDWIK

Jedną rzecz w tym motłochu podziwiam: ich [zdrowie.
Chłopcy na schwał: wiatr górski służy im i słońce.

OLIVIER

Czasem dłużej niż zdrowe, trwa drzewo skrzypiące:
Ja kwękam od dwudziestu lat i niedbam o to.

LUDWIK

Idź i surowo rozpraw się z wolną hołotą.
Nie będę w ich obronie wojny rozpoczynał,
Przeciw wojskom burgundzkim mojego kuzyna,
Którego poseł, Rethel, wnet stanie przedemną.

(pocichu do Oliviera)

Powiedz im, że ich wesprę pomocą tajemną,
Na pociechę biesiadę im spraw, udobruchaj.

COITIER (do Oliviera)

Zaproś i mnie.

LUDWIK

Widzicie tego pasibrzucha!
Innym posty zaleca, sam pałkę zalewa!
Och, ci lekarze?...

(pocichu do Filipa)

Ile ten Rethel zaśpiewał?

FILIP DE COMINE

Nieprzekupny.

LUDWIK

Bajdurzysz!

FILIP DE COMINE

Targować się nie chce.

LUDWIK

Droży się i umyślnie apetyt w nas łechce.

FILIP DE COMINE

Jak go zmusić do wzięcia?

LUDWIK

Dając — ile zechce!
Zostaw to mnie, niech przyjdzie tu burgudzki [poseł...

(Wchodzi poselstwo burgundzkie)

KSIĄŻĘ NEMOUR (jako hrabia Rethel) na stronie:
On żywy... żywy...

(Herold podaje Ludwikowi list)

LUDWIK

Hojnie obdarzyć herolda.
Teraz niech mówi poseł, który nam list oddał.

NEMOUR

Królu, staję przed tobą w imieniu Karola
Księcia Burgundji, Flandrji, Brabantu i...

LUDWIK

Hola!
Znamy tytuły wszystkich francuskich wasali, —
Do rzeczy, pośle!

NEMOUR

Książę Burgundzki się żali
Na szpetne wiarołomstwa, spełniane bez miary.
Podżegasz przeciw niemu krwawy bunt [w Szwajcarji
Tajnym sposobem niosąc pomoc rokoszanom.
Dzisiaj jawnie poselstwu ich gościnę dano,
Jak na szyderstwo — z naszą ambasadą razem.

LUDWIK

Nie mieli posłuchania Szwajcarzy. Obrazę
Uchylamy. Cóż jeszcze?

NEMOUR

Nieczni kondotjerzy
W zuchwalstwie dopuścili się podłej grabieży,
Bowiem bezczelnie gwałcąc zawarte układy
Zagarnęli nam twierdzę. A na domiar zdrady,
Wbrew temu, co zaprzysiągł król arcychrześcijański
Ludwik, jemu wydali zbójcy łup szatański.

LUDWIK

Za gwałt wszyscy przed sądem odpowiadać mają.

NEMOUR

Lecz plon gwałtu — ty wziąłeś!

LUDWIK

Bierze się, gdy dają!
Zażegnany niebawem będzie zatarg cały.

NEMOUR

Żądam rękojmi.

LUDWIK

Jakiej?

NEMOUR

Stracenia zuchwałych

LUDWIK

Jak śniesz?!—Pan poseł w wodzie gorącej kąpany:
Podsądny przed straceniem musi być badany.

NEMOUR

Dawniej o formalności nie miewałeś troski:
Nawet niewinnych słałeś pod topór katowski.

LUDWIK

O kim mówisz?

NEMOUR

Przypomni ci o tem — sąd Boski!
Tam zobaczysz niewinnych ofiar ścięte głowy.

LUDWIK

Twoją mam znaczniej bliżej!

NEMOUR

Gdy chcesz, spełń gwałt nowy:
Nietykalną poselską głowę oddaj katu,
Dopełń miary krzywd twemu książęcemu bratu
Zrządzonych.

FILIP DE COMINE

Milcz, na Boga!

LUDWIK

Poseł godny pana:
Jednakowa porywczość w obu — wykapana!
Kończ, pośle.

NEMOUR

Królu Francji, synu Walezjuszów,
Słuchaj! I wy rycerze też nadstawcie uszu,
Wy, których miecze, żadną hańbą niesplamione,
W obronie praw umieją pokarać koronę —
Mój pan, książę Burgundzki, dotknięty grabieżą,
Chce zadośćuczynienia natychmiast za świeżą
Napaść i nieustanne dawniejsze rozboje.
Jeżeli nie, przysięgi hołdownicze swoje
Książę cofa, wymawia Francji posłuszeństwo.
A na znak, że poskromi mieczem bezeceństwo,
Co się rozpanoszyło na królewskim tronie,
Rzuca ci rękawicę, królu!

KRÓLEWICZ

Ja w obronie
Króla odpowiem mieczem.

RYCERZE

I my wszyscy razem!

LUDWIK

Lecz mój syn pierwszy odparł ojcowską obrazę...
Krew Walezych w tym malcu. Dobrze, synu, dzięki.

KRÓLEWICZ

Mój ojcze...

LUDWIK

Dosyć!

(Do herolda)

Weź mu rękawicę z ręki:
To rzecz święta, gdy taką dłonią uzacniona.

(do Nemoura)

Przebaczam ci, boś młody: młodość jest szalona,
Inaczej już byś leżał tam, gdzie rękawica...

(do dworzan)

Nie chowajcie urazy do tego szlachcica,
Ubliżył mi, lecz nie umie o to się prawować...
Widzicie, wasz pan umie nad sobą panować.

(do posła)

Skargę książęcą zważę, rzecz wspólnie ułożym,
A zgodę zaprzysiężem przed ołtarzem Bożym.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BILAK F. i BYSTROŃ I. S.: Dawniej i dziś. Wypisy polskie dla kl. I gimnaz. 8° str. 308. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 2.80.

CZEKANOWSKI JAN prof.: Człowiek w czasie i przestrzeni, z 7 tablicami, 81 ilustr. i mapami i portretem autora. 8° str. VIII i 271. Warszawa 1934. Trzaska, Ewert i Michalski. Zł. 12.—; opr. 15.—.

DEWEY J. prof.: Jak myślimy? Z ang. przełożyła dr. Z. Bastevnówna ze wstępem prof. dr. Z. Mysłakowskiego. 8° str. XIV i 222. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 5.80.

GIELGUD VAL: Stara szabla. Przełożyła Laura Orłowska. 8° str. 203. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

JACZEWSCY HALINA i TADEUSZ: Podręcznik zoologji na I kl. kl. gimn. ze 172 ilustr. 8° str. 240. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.80.

KORNREICH M. dr.: Kodeks najmu mieszkań i lokali. 8° str. 276. Kraków 1934. L. Frommer. Zł. 5.50.

KOŚCIŃSKI W.: Nowy system emerytur państwowych. Państwowy zakład emerytalny. 8° str. 43. Warszawa 1934. Księgarnia Powszechna. Zł. 1.—.

KUKIEL MARJAN: Wybuch wojny światowej. 8° str. 45. Kraków 1934. Książnica-Atlas. Zł. 1.50.

LACOSTE RENE: Tenis. Przełożył E. Wittman. 8° str. 177. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 4.20.

LASOCKI Z.: Nieznany bohater spod Zbaraża. 8° str. 11. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.80.

ŁUKOMSKI ST. Ks.: Konkordat zawarty w dn. 10.II.1925 pomiędzy Stolicą Apostolską i Rzeczpospolitą Polską. 8° str. 428. Łomża 1934. Księgarnia Unitas. Zł. 3.60.

MORRISON STRANG J.: Piękne dziewczę z „Taorminy". Przełożyła J. Sujkowska. 8° str. 229. Warszawa 1934. „Rój". Zł. 3.—.

PAWŁOWSKI ST.: Geografja Polski dla kl. I gimn. Wyd. 2-gie z 186 ilustr. i mapką. 8° str. 216. Lwów 1934. Książnica-Atlas. Zł. 2.10.

PLAUTUS MACCIUS T.: Komedje. T. II. Przełożył, wstępem, streszczeniami opatrzył G. Przychoski. 8° str. 528. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 12.—.

PODOSKI J.: W pościgu za słońcem Lewantu. Na „Polonji" do Ziemi Świętej z fotogr. J. Rysia. 8° str. 99 i 12 nlb. Warszawa 1934. Książnica-Atlas. Zł. 3.—.

Ruch regionalistyczny w Europie. Książka zbiorowa pod redakcją **AL. PATKOWSKIEGO.** 8° T. I, str. XII i 428. T. II. VI 396. Warszawa 1934. Nasza Księgarnia. 2 tomy. Zł. 8.—.

Ustawa karna skarbowa. Przepisy związkowe. Rozporządzenia wykonawcze. 8° str. XII i 176. Kraków 1935. Księgarnia Powszechna. Opr. zł. 3.60.

Ustawa o powszechnym obowiązku wojskowym. Kodeks karny wojskowy. 8° str. X i 219. Kraków 1935. Księgarnia Powszechna. Opr. zł. 3.60.

Ustawa o spółdzielniach wraz z nowelą z dn. 13 marca 1934 r. W uwagi zaopatrzył dr. **T. RZEPECKI.** 8° str. 151. Poznań 1934. Wł. Wilak. Zł. 2.75.

WYRZYKOWSKI C.: Uprawa cebuli. 8° str. 32. Lwów 1934. B. Połoniecki. Zł. 1.—.

Zbiór ustaw Archidiecezji Gnieźnieńskiej i Poznańskiej. T. I. Zebrał i wydał ks. dr. Stanisław Bross. 4° str. 750. Poznań 1934. Księgarnia Św. Wojciecha. Zł. 22.—.

ZEMŁA J.: W obozach jeńców wojennych na Syberji. 8° str. 166. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.—.

ZEVACO M.: Królowa serc. Powieść. Przekład Jana Mściwoja. 8° str. 280. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.—.

ZWOLAKIEWICZ H.: Przewodnik nauczyciela-ludoznawcy. 8° str. VIII i 128. Lublin 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 1.50.

ZWOLIŃSKI A.: Województwo Śląskie. Mapa dróg bitych. 1:250.000 Katowice 1934. T. Mikulski. Zł. 2.

ZYDLER JAN: Geometrja. Podręcznik dla kl. gimn. z 106 rys. 8° str. 80. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.—.

Z nauki i sztuki

— **Nowe odkrycie w głębi kopca Krakusa.** W ciągu dalszych prac nad rozkopywaniem kopca Krakusa (przed paru tygodniami „A B C" zamieściło obszerny artykuł o badaniu wnętrza kopca) znaleziono u szczytu kopca czaszkę dorosłego człowieka, a pozatem kilkanaście monet z czasów króla Olbrachta. Ostatnio natrafiono na większą ilość zbutwiałych i zwęglonych belek i desek. Drzewo to może być pozostałością z ognisk, zwykle palonych na wzniesieniach, może także być pozostałością jakiejś budowli. Roboty u stóp kopca doprowadziły do stwierdzenia, że kopiec został usypany na przestrzeni, pokrytej warstwą piasku grubości kilkudziesięciu centymetrów. Znalezione skorupy wskazują, że kopiec sypano już po kulturze łużyckiej, około 500 r. przed Chr. Określenie epoki powstania kopca jest jedną z najważniejszych zdobyczy naukowych, uzyskanych dzięki rozkopaniu kopca. (b)

— **Badania antropologiczne Karaimów.** Włoska ekspedycja naukowa, która specjalnie przybyła do Polski dla badań antropologicznych, przeprowadziła badania Karaimów w okolicy Halicza, gdzie Karaimowie tworzą osobną gminę.

Uczeni włoscy prowadzą studja antropologiczne i demograficzne nad zanikającemi ludami, a do takich właśnie należą Karaimowie. Z Halicza ekspedycja udaje się do Łucka.

E. M. Szermentowski

Tołstoj wśród bliskich

Od kilku lat już zapanowała na świecie moda na biografje wielkich ludzi. Mam wrażenie, że inspirację tej mody wywołała głośna książka Marcelego Schwoba p. t. Vies imaginaires. Jeśli można tak pięknie wyrazić żywoty osób urojonych, czemużby nie spróbować tej formy artystycznej w odniesieniu do osób rzeczywistych? I oto powstał nowy rodzaj prozy artystycznej, który nazwano powieścią biograficzną — la vie romancée.

Zainteresowanie, jakiem cieszy się ten nowy rodzaj, spowodowało pojawienie się wielu książek bądź o charakterze pamiętników własnych, bądź osób trzecich, w formie mniej lub więcej artystycznej. Żadna jednak nie osiągnęła tak wysokiej wartości artystycznej, jak właśnie książka Schwoba.

Oczywiście — tem większe zainteresowanie książką, im wybitniejsza postać, jaką się omawia. Napoleon (Mereżkowskij, Ludwig), Katarzyna II, D'Izraeli, Wilhelm II, Słowacki (Wołoszynowski), Oskar Wilde (Parandowski), Edward VII, i szereg innych biografij artystycznych musiały się liczyć z pewną popularnością, względnie genjalnością a outrance. Popularność ta, względnie genjalność bohatera, ma stanowić rękojmię powodzenia książki — w epoce kryzysu książki, w epoce, w której robi się wszystko możliwe, aby zjednać książce poczytność.

Rzecz prosta, że forma nie ma tu nic wspólnego z treścią; stąd niewspółmierna poczytność książki mniej lub więcej wartościowej, zależnie od atrakcyjności tematu. „Król Życia" Parandowskiego, powieść o wspaniałych walorach artystycznych, miała u nas mniejszą poczytność, niż kompilacyjny utwór, areyfatalnie na polski przetłumaczony, Ludwiga o cesarzu niemieckim. Ale Wilhelm Ostatni bardziej jest u nas popularny, niż angielski dramatysta, esteta, hedonista „The King of Life", „Lord Paradox" — słowem O. Wilde. Największe powodzenie będzie miała powieść o genjuszu na miarę europejską, a jeszcze bardziej — światową. Napoleon, Tołstoj, Chopin...

Czemu nas tak pociąga rzecz o postaci olimpijskiej, o genjuszu? Co to jest genjusz? Na to pytanie daje odpowiedź W. Lange-Eichbaum, dla którego każdy genjusz jest „dawcą wartości". Ernest Kretschmer w swojej pracy „Ludzie genjalni" genjuszem nazywa człowieka zdolnego do wzbudzania uczuć uzasadnionego podziwu dla wysokich wartości pozytywnych, a mianowicie do wzbudzania ich w większej gromadzie ludzi. Dla Kretschmera genjusz nie jest li-tylko „dawcą wartości" wogóle, ale jedynie „twórcą wartości".

Otóż ów twórca trwałych wartości emocjonalnych sprawia, że staje się nam bliski, hipnotyzuje nas niejako swoim wpływem, powoduje to, że usiłujemy docieć w nim głębszych przyczyn tej influencji; toteż chętnie dokonujemy na nim sekcji. Osobowość jego będzie dla nas miała zawsze urok nieprzezwyciężony, niezależnie od tego, czy będziemy podzielać jego ideologję, czy ją potępimy.

Takiej sekcji na osobowości genjalnego powieściopisarza, Lwa Tołstoja, podjął się Aleksander Goldenweiser, słynny rosyjski pianista, profesor Konserwatorjum Moskiewskiego. Ogłosił on dwa tomy wspomnień, dotyczących wielkiego pisarza, wspomnień tem cenniejszych, że opartych na dzienniku, notowanych niejako na gorąco, z dnia na dzień. Po polsku ukazał się narazie tom I p. t. „Tołstoj wśród bliskich" (Warszawa, Wydawnictwo Współczesne).

Goldenweiser był prawie codziennym gościem w majątku pisarza, Jasnej Polanie. Od r. 1896 aż do dnia śmierci pisarza prowadził on dziennik, w którym starannie notował wszystkie powiedzenia autora „Wojny i pokoju", poczynając od żartów i dowcipów, a kończąc na obszernych rozważaniach filozoficznych. W książce odnajdujemy przedewszystkiem Tołstoja - człowieka. Mamy przed sobą starca, dla którego może największą tragedją jest to, że najbliższe otoczenie — żona i dzieci — nietylko nie podziela jego światopoglądu, ale potępia go. Tołstoj chciał być nietylko pisarzem, ale i prorokiem i apostołem. Pragnął zaszczepić ludziom własną filozofię, która w grubszych zarysach głosi: powszechną równość ludzi, powrót do natury, potępienie cywilizacji, oparcie się moralne na Ewangelji, niesprzeciwianie się złu. W religji odrzucał Tołstoj obrządkowość. Ascetyzm posuwał tak daleko, że nie uznawał wytworów cywilizacji — wróg miasta, fabryk, kolei. Światopogląd jego ściśle był związany z ziemią. Był typem dziedzica-chłopa. Żyć według niego trzeba prosto, najprościej, pracować na roli — wróg komfortu.

Jak wiadomo, przed śmiercią Tołstoj postanowił rozdać ziemię chłopom i zrzec się na korzyść społeczną olbrzymich dochodów, płynących z przekładów jego książek. Żona, Sofja Andrejewna, przeciwna była tej dobrowolnej pauperyzacji. Dowodziła, że mąż, mając tak liczną rodzinę, nie ma prawa pozbawiać jej majątku. Opór żony i dzieci w przeprowadzeniu tej woli był źródłem ciężkich zgryzot pisarza.

Z żoną żył źle. W pamiętnikach swoich Sofja Andrejewna przedstawia nam pożycie z mężem jako nieustanną martyrologję. Hipochondryk, dziwak, popędliwy. W życiu seksualnem — mimo głoszonych zasad powściągliwości — niepohamowany.

Tych cech, oczywiście, nie odnajdujemy w dzienniku Goldenweisera. Dla gości pisarz był uprzejmy i miły. W Jasnej Polanie nie zdarzył się dzień, w którym nie zjawiłby się nowy przybysz, entuzjasta, wielbiciel, z wyrazami hołdu, podziwu, uwielbienia. Przyjeżdżali dziennikarze, fotografowie, politycy, pisarze. Zjeżdżali się nietylko z Rosji, ale z Europy całej. Dom był pełen artystów, muzyków, śpiewaków, prostych chłopów-włóczykijów, z którymi Tołstoj lubił gawędzić.

Ubolewał, że ludzie i świat źle go zrozumieli.

— To jest „tołstojowiec" — powiedział o kimś — to znaczy człowiek o zupełnie obcym mi światopoglądzie.

Książka zawiera całą kopalnię jego powiedzeń, aforyzmów, paradoksów. Jest w niej mowa o filozofji, o sztuce, o socjologji, o polityce, o Bogu, o medycynie, o wszystkiem.

Ulubiony kompozytor Tołstoja — Chopin. „Dawniej nie lubiłem Polaków — wyraził się; — od czasu, kiedym poznał Chopina, polubiłem ich". W Schumanie razi go nadmierna wykwintność. Mozarta nie lubi, gdyż ten znowu popada w trywialność.

„Krzyżaków" Sienkiewicza nie potrafił doczytać do końca. „Nuda!".

Schillera cenił wysoko. „Szekspira i Goethego trzy razy w życiu przestudjowałem od początku do końca, ale nigdy nie zrozumiałem, na czem polega ich urok". Goethe był dla niego zimny.

Gorkij. „Główną i wielką wadą Gorkiego jest brak poczucia miary". Wysoko ceni Czechowa: „Jest to mistrz wyższego rzędu. Czytam jego rzeczy wprost z rozkoszą".

O Turgieniewie: „Jest to typowy przedstawiciel inteligencji połowy dziewiętnastego wieku. Liberał w najlepszem znaczeniu tego słowa. Wzruszająca jest walka, którą prowadził o zniesienie poddaństwa chłopów...".

— Kogo spośród pisarzy rosyjskich ceni pan najwięcej? — zapytano raz Tołstoja.

— Puszkina, Lermontowa, Gogola i Dostojewskiego. Pozatem: Gribojedowa, Ostrowskiego, Tiutczewa.

Wyliczając swoich ulubionych autorów dodał: — O sobie nie mówię. Nie do mnie należy sąd o moich dziełach.

O współczesnej literaturze Tołstoj powiedział to, coby daloby się niezawodnie i dziś powtórzyć:

— Teraz do pisania zabrali się ludzie, którzy nie mają nic do powiedzenia. Przytem zawsze wypowiadają jakieś „ostatnie słowo". Starają się obniżyć autorytet wielkich pisarzy, mówiąc, że tamci „przeżyli się". Co za niedorzeczne pojęcie „przeżyli się"! Publiczność czyta współczesne książki właśnie dlatego, że otrzymuje owo „ostatnie słowo" — w gotowej postaci. Jest to o wiele łatwiej, niż przeczytać i zrozumieć utwór, napisany z talentem. Owi twórcy „ostatniego słowa" przynoszą olbrzymią szkodę, gdyż odzwyczajają ludzi od samodzielnego myślenia.

Interesująco brzmią uwagi Tołstoja o ruchu rewolucyjnym w Rosji:

— Obecny ruch rewolucyjny w Rosji jest ruchem światowym, choć ludzie tego nie rozumieją. Możliwe, że podobnie jak rewolucja francuska — będzie on bodźcem do nowych ruchów, mogących trwać setki lat. Naród rosyjski ma duże zdolności organizacyjne i potrafi dobrze rządzić. Ustąpił on władzę rządowi i jak dawniej czekał na zniesienie pańszczyzny, tak teraz czeka na przydzielenie mu ziemi. A ponieważ mu jej nie dano, postanowił sam przeprowadzić tę reformę. Nasi rewolucjoniści zupełnie nie znają ludu, nie rozumieją ruchu ludowego. Dlatego, zamiast nim kierować, psują go tylko. Mojem zdaniem, nasz naród jest więcej chrześcijański, niż inne. Mówię to zupełnie bezstronnie. Pochodzi to zapewne stąd, żeśmy poznali Ewangelję o pięćset lat wcześniej, niż na Zachodzie, gdzie masy przed reformacją nie znały jej zupełnie.

Jak w każdym myślicielu, i w Tołstoju jest wiele doktrynerstwa, która zarówno za jego życia, tak i dziś spotyka się z uśmiechem pobłażania. Błędem Tołstoja było to, że usiłował stworzyć nową doktrynę filozoficzną, podczas kiedy był tylko genjalnym powieściopisarzem. Stąd jego tragedja. Stąd również tragedja jego bliskich, którzy dla tych jego dziwacznych pomysłów nie mieli żadnego zrozumienia.

Tom pierwszy dziennika Goldenweisera kończy się na r. 1909-ym. Tom drugi, jak należy przypuszczać, autor doprowadza do dnia śmierci Tołstoja. Znajdziemy tam zapewne wyjaśnienie straszliwej tragedji starca, który w przeddzień śmierci ucieka z domu, aby umrzeć na małej kolejowej stacyjce. Być może, że autor, jako uważny spostrzegacz i częsty gość w domu Tołstojów, dorzuci niejeden ciekawy szczegół rodzinnego dramatu i pozwoli skonfrontować go z tem, co wiemy z pamiętników żony i córki autora „Anny Kareniny".

S A T Y R A

Zygmunt Jurkowski

Wizje przyszłości

Jubileusz Prezydenta Starzyńskiego

Już od samego rana w stolicy, dawał się wyczuć nastrój uroczysty i świąteczny. Dzień 9 września 1954 roku zapowiadał się ciepło i pogodnie, jakgdyby sama natura chciała wraz z narodem, manifestować swoją pogodną lojalność. Już skoro świt, poczęły przeciągać przybranemi odświętnie ulicami liczne hufce, poczty sztandarowe, delegacje, związki i organizacje mające wziąć udział w pochodzie. Formowały się w karnych szeregach, stojąc na swoich miejscach znanych im dobrze z poprzednich obchodów.

Już o godzinie 10-ej, trybuny ustawione na placu Szyfmana (dawniej Teatralnym), zaroiły się wielobarwnym tłumem. Jako sygnał rozpoczęcia uroczystości, rozległ się dźwięk hejnału z wieży magistrackiej. O godzinie 10 minut 16 na podwyższeniu przybranem w girlandy z polnego kwiecia, ukazał się prezydent Starzyński, Jubilat i twórca nowej, odrodzonej Warszawy. Z ust wielotysięcznego tłumu wypełniającego plac Szyfmana, wyrwał się spontaniczny okrzyk.

Rozpoczęły się przemówienia. Pierwszy wystąpił pan premjer i w prostych żołnierskich słowach wyraził Jubilatowi wdzięczność za jego dbałość o wygląd stolicy. Gdy skończył, wzruszony Jubilat w krótkiem i nacechowanem skromnością przemówieniu podziękował premjerowi za słowa uznania. Po tej wzruszającej ceremonji prezydent Starzyński zstąpił z podwyższenia i wysunął się na czoło pochodu, aby prowadzić tłumy przez ulice miasta. O godzinie 10.30 pochód wyruszył z placu Szyfmana i zatrzymawszy się chwilę na ulicy Marszałka Focha, gdzie odbyła się krótka uroczystość przemianowania jej na ulicę Marszałka Hindenburga, pochód wkroczył w ulicę Jędrzejewicza, kierując się w stronę mostu ministra Poniatowskiego.

O godzinie 1-ej z minutami, tłumy zachowując wzorowy porządek, przemaszerowały dokoła Prystorowej Kępy i ustawiły się wraz z orkiestrami na plaży premjera Kozłowskiego, gdzie miało się odbyć odsłonięcie pomnika premjera (dłuta Wittiga).

Gdy orkiestry odegrały melodję „Czwartej Brygady" i z pomnika opadły białe zasłony, oczom zachwyconej publiczności ukazał się odlany z bronzu nagi tors męża spoczywającego na plaży. Był to pierwszy tego rodzaju pomnik bez cokołu, udany eksperyment słynnego rzeźbiarza. Pomnik spodobał się zwłaszcza panom z MSZ-etu, którzy natychmiast przyozdobili muskularną postać wianuszkami z polnego kwiecia. Po zakończonej ceremonji, pochód uformowany w czwórki wszedł triumfalną bramą do parku Stpiczyńskiego (dawniej Paderewskiego), poczem wyminął zwiewny, tańczący posąg Jehanne Wielopolskiej (dłuta Wittiga) i przesunął długim niekończącym się wężem w stronę mostu Rajchmana, gdzie do godziny 3-ej popołudniu trwały uroczystości związane z odsłonięciem autopopiersia artysty Wittiga, w dowód jego zasług na polu urbanistyki.

W dalszej części programu odbyła się defilada na placu Drymmera, gdzie przed oczami rozentuzjazmowanych tłumów, przemaszerowały oddziały policji konnej, pieszej, tajnej i obyczajowej oraz straży ogniowej, celnej i więziennej.

Ludzie padali sobie w ramiona z zachwytu patrząc na karne szeregi granatowych, zielonych i bronzowych chłopców, uzbrojonych w potężne pałki i owianych szczerym patrjotyzmem.

Po defiladzie odbyły się pokazy:

Poprawnego chodzenia po ulicy, poglądowe przykłady uprzejmości i obyczajności publicznej, pokazy ratowania upadłych dziewcząt przez policję obyczajową, karmienia niemowląt przez straż więzienną, penetrowania kufrów przez zwinną straż celną i wiele innych temu podobnych.

To naoczne stwierdzenie sprawności naszych organów napełniło po raz setny otuchą zebrane tłumy.

Po zakończonych popisach odbyło się odsłonięcie ufundowanego samorzutnie przez młodzież szkolną pomnika BBWR (dłuta Wittiga) z jednolitego bloku, na którym widniały owe cztery litery.

Wzruszającym momentem było wystąpienie malutkiej dziewczynki, która wyrwawszy się z rąk swojej mamy, podbiegła do bloku i ułożyła pod nim wiązankę kwiecia.

Na zakończenie tej miłej części programu, grupka najmłodszej dziatwy z ochronki „imienia Kostka - Biernackiego", odśpiewała chórem znaną żołnierską piosenkę:

Siekiera, motyka, piłka, klesz-cze...

poczem na dany znak przez jubilata pochód ruszył z miejsca i przedefilował ulicami: Pułkownikowską, Becka, Czwartej Kadrówki, Długoszewską, Miedzińska, Sławoj - Składkowską, Michałowską i Nakoniecznikow-Klukowską, przedostał się wreszcie przez ciasną uliczkę Bartla na plac Niezgody, gdzie na zakończenie obchodu miało się odbyć odsłonięcie pomnika „Nieznanych Sprawców" (dłuta Wittiga). Kiedy orkiestra dęta odegrała potpouri z melodyj brygadowych i z okalającego pomnik rusztowania opadły białe zasłony, oczom zebranych ukazał się zamiast spodziewanego pomnika artysta Wittig, we własnej osobie.

W tłumie zaległo kłopotliwe milczenie. Po dłuższej chwili niezdecydowania, wielki artysta rozłożył bezradnie ręce i rzekł:

— Panowie i Panie, zechciejcie mi wybaczyć, ale tym razem zawiodłem pokładane we mnie nadzieje, niestety nie byłem w stanie wyrzeźbić tego pomnika.... nie znalazłem modeli...

Głucha, kamienna cisza była odpowiedzią na owo prostoduszne i szczere wyznanie. Następiło uroczyste rozwiązanie pochodu, poczem zachowując wzorowy porządek. tłumy poczęły opuszczać plac Niezgody, nucąc w skupienie starą, ale wciąż żywą piosenkę znanego ongi rybałta — Andrzeja Własta:

Warszawo, piękna Warszawo,
Tyś miastem najdroższem mem...

Janusz Minkiewicz

Sabat czarownic

Gdy północ jest na Łysej Górze,
Godzina, którą rządzą duchy,
Gdy ciemna noc rozpęta burze,
Pioruny, wichry, zawieruchy —
Wtedy ukradkiem, w tajemnicy
Na miotłach pędzą od stolicy
Postacie groźne i ponure
Na jakąś wielką awanturę...
Gdy się przybliżą do ogniska,
Gdy przywitają się i zliczą,
Wtedy rozpoznać można zbliska
Całą tę rzeszę tajemniczą.

Właśnie z ciemności się wyłania
Postać wyniosła i semicka,
Wokoło słychać zapytania:
Kto idzie?
— Jakto kto?—Krzywicka!!!

Pośrodku stoi duża grupa,
Tam w środku Iłła nogą tupa,
Potem się puszcza w zwiewny taniec
Wraz z Magdaleną Samozwaniec...
A dalej, stojąc w dziwnym tłumie,
Jehanne Szczucka oszatania,
A Meleer, tak jak ona umie,
Migową pilnie uświadamia!

Te literackie dziwożony,
Współczesne Furje i Gorgony,
Przybyły na djabelski zew i z
Przejęciem święcą swój benefis!
Wytwórnie mioteł dały rabat,
Więc przyleciały tu na sabat!

Za chwilę sabat się już zacznie,
Lecz niema kto dziś przewodniczyć,
Więc wypatrują wszystkie bacznie
Przybycia głównej czarownicy...

Wtem dał się słyszeć poszum miotły,
Niewiasty zwarcie ją oplotły:
Nie padł zdziwienia okrzyk żaden,
Gdy z owej miotły zeszedł... Kaden!
Bowiem już każdy dzisiaj wie to,
Że Kaden jednak jest kobietą;
Dać każdy na to może słowo,
Bo Kaden przecież jest... teściową,
Bo o nim znane na kraj cały,
Jak o teściowej — są kawały!

Więc do Kadena woła Iłła:
— Błagamy, byś przewodniczyła!
Kaden odparła: — Widzę, że tu
Dziś niema na mą cześć bankietu,
Tego wam nigdy nie daruję
I sabat za to rozwiązuję!

Po wystąpieniu tem ponurem,
Krzyknęły wszystkie damy chórem:
— Ponieważ cały sabat wściekł się,
Wracajmy pisać znów o sex'ie! —
Bo przestraszyło nasze panie,
Takie przedwczesne rozwiązanie!

Więc w śpieszny odwrót z tej wycieczki,
Pierwsza puściła się Jehanne,
Za nią Moszczeńska do ucieczki
W mig zakasała swą sutannę!
Dalej w popłochu Kuncewiczowa,
Gojawiczyńska, Buyno-Arctowa,
Zahorska i Mortkowiczówna,
Strzelecka, pani Well, Szpyrkówna...
Za niemi gna tłum nieskończony:
To złych poetek trzy miljony,
W końcu korowód ich rodaczek:
Cztery miljony złych tłumaczek!!!